Tygodnik ilustrowany

Famulus

№ 9

10 — 17 kwietnia 1927 r.

30 gr

Figielek rysunkowy



Przeciąć poziomemi i pionowemi linjami białe tło figury tak, żeby utworzyło się imię i nazwisko znakomitej polskiej artystki.

ROZWIĄZANIE REBUSA

„Często i kobieta bywa narzędziem gniewu nieba".

LOSOWANIE NAGRÓD

Nagrody za trafne rozwiązania otrzymali przez losowanie:

1) M. Wermińska — pren. kwart. „Famulusa" i 1 książkę.

2) A. Wąsowicz — pren. mies. „Famulusa" i 1 książkę.

3, 4, 5) A. Barański, M. Maciejowski i B. Glaser — po książce.

Z redakcyjnego biurka

Watraszewskiemu. Wydanie wyczerpane. Można znaleźć w antykwarjatach. Nie przypuszczamy, by cena mogła być zbyt wygórowaną.

H. J. Pierwszy nakład został rozkupiony w ciągu kilku dni. Pozostawiliśmy egzemplarze dla prenumeratorów.

Wiktorowi. Rekurs wnieść należy w zwykłym trybie postępowania. Nie radzimy obchodzić się bez radcy prawnego.

Glinojeckiemu. Ukaże się w druku w drugiej połowie roku. O ile nam wiadomo zebranie materjałów będzie wkrótce ukończone.

W. S-mu. Jedyną trudnością jest wysokość opłat za wizę. Linja nie przestaje agitować w tym względzie. Pewności niema. Odpowiednie publikacje będą ogłoszone w swoim czasie. Prospekty wysyła firma, do której należy się zwrócić pod wiadomym adresem.

Stempkowskiemu. Dziękujemy za materjały. Publikować będziemy mogli w razie uzupełnienia braków ilustracyjnych, przy których artykuł wyszedłby zbyt sucho.

W. Skiwskiemu. Nie otrzymaliśmy. Reklamujemy w urzędzie pocztowym.

D-rowi Połtowiczowi. Niestety nie możemy służyć kliszą, mamy bowiem zamiar wydać pewne opracowanie powstania styczniowego, rezerwując sobie właśnie dla zilustrowania tej książki klisze z Famulusa. Moglibyśmy zamówić nową kliszę, potrzebowalibyśmy jednak w tym wypadku oryginału fotografji.

Grytnerowi w Budsławiu. Serdeczne wyrazy podziękowania za tak czynne zajęcie się rozpowszechnieniem naszego pisma. Bardzo nas cieszy skądinąd, że propaganda ta łatwo Panu przychodzi. Bylibyśmy wdzięczni za łaskawe wskazanie nam, jakie podnoszą się słowa krytyki wśród naszych sympatyków, których bardzo prosimy o stałe utrzymywanie z nami kontaktu.

Gołębiowskiemu. Wierzymy w Pańską sympatję i bardzo za nią jesteśmy wdzięczni, nie rozumiemy jednak na czem polega pewna wycieczka w ostatnim, mało pomimo wysiłków śmiesznym — liście. Przechodzimy do porządku dziennego, przypuszczamy, że Pan tak samo uczyni.

Wśród książek

Xawery Kmita. El Dżezireh. Nakł. M. Arcta.

Do egzotycznej naszej literatury przybyła nowa książka, zbiór poezji utalentowanego autora, Xawerego Kmity. Wskutek wypadków wojennych, jak wielu innych, skazany na tułaczkę, poeta znalazł się w szeregach kolonjalnej armji angielskiej w Mezopotamji. Urok wschodu pozostawił niezatarte piętno na natchnieniu autora, którego egzotyki w zbiorku „El Dżezireh" stanowią najlepszą część. Pozostałe utwory są słabsze, świadczą jednak o wcale nieprzeciętnym talencie autora.

„Soból i panna", najpiękniejszy utwór Józefa Weyssenhoffa, doczekał się jeszcze jednego nowego nakładu.

Pamiętniki Pawła Popiela (1807 — 1892). Nakł. Krakowskiej Spółki Wydawniczej, Kraków, 1927.

Pamiętniki, szczególnie tak żywo spisane, jak pozostawiona rodzinie, a dzięki jej zabiegom wydane, Pawła Popiela, uczestnika ciekawych wypadków roku 1831, 1846, 1848 i 1863, stanowią cenny materjał do badań historycznych nad daną epoką. Pomijając zapatrywania polityczne autora, który całe życie swe poświęcił obronie teoryj konserwatywnych, znajdujemy w tych materjałach rewelacyjne wprost dane zwłaszcza o wypadkach z lat 46 i 48, jak również powstania styczniowego, kiedy to Popielowi zadeklarował francuski minister, hr. Walewski, iż „od rozbiorów kwestja polska nie była nigdy postawiona, jako europejska", jak wówczas, co, jak wiadomo, długo powstańców utrzymywało w wierze zwycięstwa idei narodowej. Lokalne wspomnienia dotyczące historji Krakowa, ujęte są w żywy i zajmujący sposób.

Opłata pocztowa ryczałtem Warszawa, 10-17 kwietnia 1927 r. Cena 30 gr.

FAMULUS

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 9.

Kartki z raptularza

ZARAZA SIĘ PCHA... Trąd moskiewski, którym zbuntowana czerń i hołota pragnie zarazić świat cały, w pierwszym rzędzie próbuje przeniknąć do Polski.

I nic dziwnego, gdyż barjera ochronna, jaką jest Rzeczpospolita, broniąca znowu, jak dawniej przed turczynem, cywilizacji chrześcijańskiej od zbrodni mongolskiej przedewszystkiem staje się terenem, na który Sowiety puszczają trujące gazy propagandy.

Zaraza się pcha...

Szereg procesów o przynależność do partji komunistycznej stwierdza, iż tu i ówdzie znajduje podatny grunt, zwłaszcza wśród ciemnych mas, które idą na lep wielkich obietnic, lub wśród młodzieży, którą oszukuje się wzniosłością wielkich haseł, tumaniących nieodświadczone i wrażliwe umysły.

Musimy zdwoić ostrożność, stosując odtrutki na truciznę.

Dla ciemnych mas oświata i uświadomienie obywatelskie, dla młodzieży baczniejsza troska i opieka zarówno ze strony szkoły, jak i rodzicielskiego domu.

Jest to obowiązek, powszechny, który powinien leżeć na sercu każdego obywatela Rzeczypospolitej, dbałego o panujący w niej ład i porządek, niezatruty trądem wschodniej zarazy.

WRACAJĄ PROCHY... Z przytulnej ziemi francuskiej, która przyjęła do swego łona niejedne prochy polskie w latach wygnania, wrócić mają do kraju śmiertelne szczątki wielkiego poety Juljusza.

Będzie to piękna i o głębokiej treści uroczystość narodowa, przez którą Polska współczesne pragnie wyrazić hołd genjuszowi ducha swojego, który tak potężnie, jak rzadko w którym z twórców, ucieleśniony był w Słowackim. I nic dziwnego, bo komuż przecież, jeżeli nie trójcy naszych poetów romantycznych zawdzięczamy, iż naród nasz nie zniszczał w niewoli, nie zmarniał i nie spodlał, a zajaśniał taką krasą swej duszy, że purpura tęczy czy słońca nie była od niej piękniejsza, czystsza szlachetniejsza.

Po Mickiewiczu, drugim był Juljusz Słowacki, który cudu tego dokonał, gdyż ogniem swego natchnienia i wieszczych przeczuć rozpłomienił cały naród, ukazując mu jasność wśród ciemnej nocy i krzepiąc wiarę w radość i dzień zmartwychwstania Polski.

Zmartwychwstała, dziś przytulić pragnie do swego łona jaknajmiłośniej te drogie i kochane prochy...

Naród przygotuje się z pietyzmem do tej wiekopomnej ceremonji.



Palmowa niedziela... Oto patrzcie, proszę, Irka biednym daje uciułane grosze..

W PRZEDDZIEŃ ŚWIĄT... Zaczynamy żyć pod znakiem świąt Wielkiejnocy. Ruch i zapał przedświąteczny ogarnia każdą gospodynię.

— Mężu, sięgnij do kieszeni, bo tradycji musi się stać zadość! I jaja, pomalowane w desenie, znaleźć się muszą, i kiełbasa, i szynka, i prosię i różne jeszcze sakramentalne smakołyki, bez których niemasz świąt i święconego.

Drapie się pan mąż w głowie, ale cóż począć:

— Jak Wielkanoc, to Wielkanoc!

Z mojej karjery... Wywiad XI

Aleksander Świętochowski

Laureat łódzkiej nagrody literackiej, Aleksander Świętochowski, urodził się w r. 1849 w Stoczku, ziemi Siedleckiej. Do szkół średnich uczęszczał w Siedlcach i w Lublinie. Następnie w Warszawie w Szkole Głównej studjował historję i filozofję. W roku 1876 na uniwersytecie Lipskim wygłosił rozprawę „O powstaniu praw moralnych", po której przyznano mu doktorat filozofji. Po powrocie z zagranicy objął redakcję dziennika „Nowiny" i na tem stanowisku pozostawał przez trzy lata. W roku 1881 opuścił redakcję „Nowin" i założył tygodnik „Prawdę".

Poza pracą publicystyczną Aleksander Świętochowski napisał kilkanaście nowel, dramatów i rozpraw filozoficznych.

Dzieła sędziwego laureata, przepojone ideją walki z zacofaniem, oparte są na pozytywizmie i pisane stylem, pełnym dowcipu i ciętości. Cechuje je olbrzymia erudycja. Rozprawy jego, z których na pierwszem miejscu postawić należy „Dzieje chłopów w Polsce", dowodzą o nadzwyczajnej cierpliwości i pracy autora. Powyższe dzieło Aleksander Świętochowski pisał lat 11.

Z innych jego dzieł zanotujemy: „O epikureiźmie", „Dumania pesymisty", „Czcigodni Polacy", „Jaka jest nasza wada narodowa główna", „Ofiarność obywatelska", „Poeta jako człowiek pierwotny", „Wolter w stuletnią rocznicę jego śmierci", „Z jednego strumienia", „Poddanka i błazen", „Klemens Boruta".

Obecnie Aleksander Świętochowski przebywa w Warszawie, gdzie zwykle spędza miesiące zimowe. Przez drugą połowę roku bawi w majątku Gołotczyźnie, gdzie zajmuje się pedagogiką i ogrodnictwem,



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

znakomity pisarz, filozof i myśliciel, otrzymał nagrodę literacką m. Łodzi.

które nadzwyczaj lubi, a stale, czy to na wsi, czy w stolicy, nad nowem jakiemś dziełem naukowo-literackiem pracuje.

Do Aleksandra Świętochowskiego trudno dotrzeć. Udało mi się to jednak. Gdy się znalazłem u niego w mieszkaniu, rozpoczynam jak zwykle:

— Proszę o coś do „Z mojej karjery".

— Nic panu o tem nie powiem — brzmi niezbyt pocieszająca odpowiedź. — Zadużo wymagałoby to czasu. Nie chce mi się sięgać myślą wstecz. Zresztą, nie lubię, by się mną interesowano, ponieważ nie lubię być zależnym od kogokolwiek. Całe moje życie nie znałem tego, nie miałem żadnego zwierzchnika i nie umiem się naginać do czyjejś woli, prośby czy żądania. Życie spędziłem w osamotnieniu, daleko od ludzi, i dlatego, może, nie mogę ich zrozumieć... A jakbym zaczął opowiadać, to ani pan, ani pańscy czytelnicy, nie rozumieliby mnie. Nie mogę się ja, samotnik, upodobnić do innych ludzi.

— A jednak niech pan raczy jeszcze coś więcej powiedzieć mi o sobie.

— Chce pan koniecznie opukać moją duszę i to z racji jakiejś nagrody. A więc powiem panu, iż pracuję już 60 lat po 18 godzin na dobę. Zresztą niech pan się zwróci do pana Stefana Demby, który zna moje życie lepiej odemnie, to on panu opowie o tem, co pan chce wydobyć ze mnie. Powiem tylko tyle, że przez te 60 lat napisałem kilkadziesiąt tomów, artykułów i dzieł.

— A jaką była pierwsza praca, drukowana przez pana?

— Przed 60 laty napisałem do „Tygodnika Ilustrowanego" krótką „Monografję o mieście Kazimierzu". Więcej nie pamiętam. Dodam, iż trudno mi mówić, gdyż dopiero co wstałem z łóżka po trzydniowej gorączce. Jestem zmęczony i osłabiony.

— A więc tylko jeszcze ostatnie pytanie. Co pan pisze obecnie?

— Będzie to „Pamiętnik mojej myśli".

Nie mogąc dalej się naprzykrzać niedysponowanemu senjorowi literatury polskiej, na tem zakończyłem rozmowę z twórcą pięknej i głębokiej sentencji: „Kto prawdę mówi, przeciąga przez uszy słuchaczów oset".

M. G.

W serji wywiadów p. t. „Z mojej karjery" zabrali głos dotąd: Zygmunt Bartkiewicz, Gustaw Daniłowski, Wacław Grubiński, Zofja Nałkowska, Stanisław Przybyszewski, Zuzanna Rabska, Marja Rodziewiczówna, Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug, Karin Michaelis



Podczas pogrzebu wielkiego filantropa, męża stanu i uczonego, Stanisława Staszica, zmarłego w 1826 r., kilkunastotysięczny tłum mieszkańców stolicy odprowadzał podczas siarczystego mrozu zwłoki jego na Bielany, gdzie spoczęły one na wieki.

Wśród tłumów kroczących w pochodzie, a szczególnie wśród młodzieży uniwersyteckiej, uwijał się wielki łotr, szpieg, agent tajnej policji W. ks. Konstantego i Nowosilcowa, niejaki Szymanowski.

Gromada studentów kroczyła w pochodzie na samym jego końcu i gwoli rozgrzania się zaczęła obrzucać się kulami śnieżnemi, a właściwie pragnęli dokuczyć znienawidzonemu szpiegowi, toteż prawie wszystkie kule niby niechcący trafiały w Szymanowskiego, którego wreszcie przy nadarzonej sposobności zepchnęli do przydrożnego rowu, pełnego śniegu, poczem zasypali go śniegiem, nie żałując przy tem kijów swoich. Gdy po niejakim czasie Szymanowski wygramolił się z rowu i skarżył się na postępowanie studentów, odpowiedziano mu, że nie zna się na żartach i pytano go, czy mu było gorąco!

Wkrótce potem w nagrodę za gorliwość i prześladowanie ze strony młodzieży otrzymał Szymanowski order św. Stanisława kl. III, czem oburzona była opinja publiczna. Akademicy postarali się o wielkiego psa, umyślnie ze wsi sprowadzonego i, przywiązawszy mu do szyi tekturowy order, napisali pod nim, że skoro Szymanowski otrzymał order, to i on Azor może go nosić. Policja goniła po całym mieście psa ku wielkiej uciesze przechodniów, wreszcie złapano go i przez kilka dni morzono biedne zwierzę, przypuszczano bowiem, że zgłodniały pies, gdy go wypuszczą polleci wprost do domu i tym sposobem zdradzi sprawcę złośliwego figla.

Pies jednak zginął bez śladu.

*

Staszic bywał często w teatrze, bo lubił go bardzo, dla oszczędności jednak chodził na najtańsze miejsca, na paradyz, a że jako wysokiemu dygnitarzowi, nie wypadało siedzieć pomiędzy młodzieżą akademicką i pospólstwem, więc, idąc do teatru, przyodziewał stare, wyniszczone ubranie, a głowę dla niepoznania okręcał chustką. Swoją drogą stali bywalcy paradyzu poznawali go pomimo tego przebrania, i z czasem weszło w zwyczaj, że akademicy, przyszedłszy wcześniej do teatru, zatrzymywali dla p. radcy, a później ministra Staszica wygodniejsze miejsce, paradyz bowiem posiadał miejsca nienumerowane.

*

Ludwik XI, król francuski, rozgniewany na swego astrologa, kazał go wezwać do siebie, uprzedziwszy swych pachołków, by na dany przez niego znak pochwycili uczonego i wyrzucili z wieży przez okno. Gdy astrolog się stawił przed królem, ten zwrócił się do niego:

— Ty, który utrzymujesz, że znasz przyszłość ludzka i nieraz odważasz się twierdzić, iż los każdego ci jest wiadomy, odpowiedz mi dziś na jedno pytanie. Co wiesz o twoich przyszłych dniach, ot, naprzykład ile lat jeszcze żyć będziesz?

Astrolog wyczuł, grożące mu niebezpieczeństwo, nie tracąc jednak zimnej krwi, rzekł poważnie:

— Sire, dokładnie na to pytanie odpowiedzieć ci nie mogę. Jedno tylko wiem napewno, że umrę na trzy dni przed Jego Królewską Mością, Ludwikiem XI-ym.

Zabobonny Ludwik XI, nietylko nie uśmiercił mądrego astrologa, ale wyznaczył mu na zamku wspaniale mieszkanie i kazał otoczyć najtroskliwszą opieką, by życie mu przedłużyć.

*

Znany angielski fizjolog na poważnem zebraniu u jednego z profesorów wygłosił następujące zdanie:

Tylko starym pannom zawdzięcza Anglja swych zdrowych, silnych i odpornych na wszelkie choroby obywateli..

Powiedzenie to wywołało zdumienie i nawet oburzenie wśród obecnych, którzy uważali, iż Huscley pozwala sobie na niewczesne drwiny z dostojnego grona uczestników zebrania.

— Cóż znaczy ten paradoks? — zapytał jeden z urażonych.

— Paradoks? Bynajmniej... Posłuchajcie, przyjaciele... Zgodziliśmy się tu wszyscy, że dobre odżywianie jest podstawą zdrowia i hartowności naszego społeczeństwa. Klimat Anglji wymaga obfitego spożywania tłuszczów i mięsa, naturalnie ,doskonałego mięsa wzorowo hodowanych wołów. Nie potrzebuję panom objaśniać, jakie odmiany traw i ziół muszą składać się na tuczącą bydło paszę. Wiecie również, które gatunki bąków i trzmieli przenoszą pylki nasienne tych ziół. Niestety, na pożyteczne te owady czatują całe zastępy myszy polnych i bezlitośnie je pożerają. Myszy tedy są największemi szkodnikami. Kto jednak niszczy myszy? Koty... A kto dba o dobrobyt kotów i hoduje je pieczołowicie? Stare panny... A więc starym pannom zawdzięcza Anglja swych zdrowych ciałem i, co za tem idzie, także duchem obywateli. Sądzę, iż dość jasno umotywowałem moje zdanie, niesłusznie przez was określone, jako paradoks, na którybym się nigdy wobec tak świetnego audytorjum nie poważył.

*

La Fontaine, bajkopisarz francuski, został raz zaproszony przez księcia de Condé na obiad, ale roztargniony, jak zwykle, zapomniał o zaproszeniu. Książę był oburzony, i przyjaciele La Fontaine'a, wiedząc, iż wrogo usposobiony książę może bardzo zaszkodzić poecie, poradzili mu, aby postarał się księcia przeprosić. La Fontaine udał się do pałacu. Gdy de Condé go ujrzał, odwrócił się do niego tyłem.

— Dziękuję — rzekł z miłym uśmiechem poeta — iż książę pan wybaczy mi moje roztrzepanie, przyjaciele moi mówili mi, że książę jest srodze na mnie zagniewany, szczęśliwy więc jestem, że książę nie żywi dla mnie żadnych nieprzyjaznych uczuć.

— Ciekawe! — mruknął książę — po czem pan to widzisz?

— Bo książę raczył mi pokazać swoje plecy, a sądzę, że dotychczas żaden wróg nie oglądał księcia z tej strony.

Ta sprytna odpowiedź rozbroiła de Condé, i podał poecie rękę.

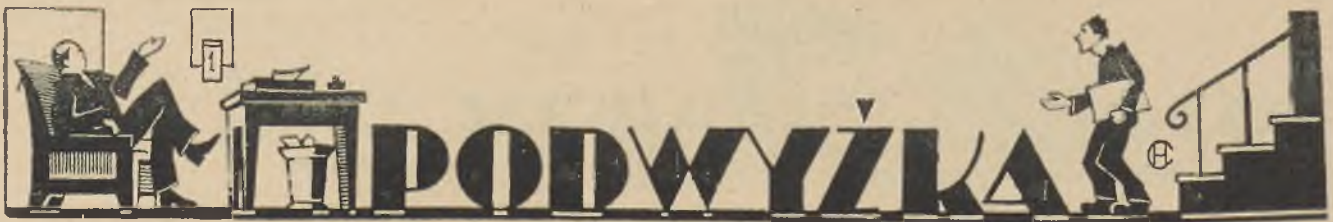
Przymówki na kwiecień

Na św. Jerzego czyli Jura

Ruś dwa razy pamięć Jura obchodzi, na wiosnę i w jesieni, stąd przysłowie:

— Jeden nie dobry, drugi nie lepszy, bo jeden hołoden (głodny), drugi chołoden (chłodny).

TADEUSZ PUDŁOWSKI



Kłoziewicz, westchnąwszy głęboko, podsumował kolumnę cyfr drobnych. Suma otrzymana widocznie żdziwiła go niezmiernie, bo zaczął rachunek sprawdzać uważnie, powoli, cyfra za cyfrą, a gdy mimo to wynik liczbowy nie uległ zmianie, coś mruknął i wreszcie ze złością nietajoną zmiął wązki skrawek papieru, na którym obliczeń dokonywał, i dokosza przy biurku rzucił.

Dziś ostatni dzień miesiąca.

Za jakąś godzinę kasjer zawezwie go i wypłaci pensję miesięczną — równoważnik wartości tej pracy, jaką Kłoziewicz wykonywał w ciągu dni trzydziestu w godzinach biurowych.

Pozycja dochodu wiadoma.

Od lat dziesięciu, gdy się był ożenił, dwanaście razy do roku w ten sposób mozolił się nad ułożeniem budżetu miesięcznego.

Z roku na rok wzrastały wydatki, dochód, niestety, pozostawał bez zmiany!

Nie ziszczały się marzenia o podwyżce!

Dziesięć... głupie dziesięć rubli na miesiąc więcej, a pozycje „ma" i „winien" zbilansowałyby się cudownie!

Ostatecznie komuż ująć?

Czy gospodarzowi, posiadającemu w ręku kontrakt na stemplowym papierze? Czy żonie, która wyrzeka bezustannie na niezwykłą drożyznę? Albo służącej? Albo szewcowej za buciki dla Janka i Stasi?

Jak te bębny niszczą obuwie — pojęcie ludzkie przechodzi!

Komuż zatem?

Chyba... sobie?... Naturalnie. Sobie samemu!

Wprawdzie przydałaby się nowa marynarka, bo ta już się prosi o emeryturę dobrze wysłużoną, a świeci się, bestja, jak cylinder! Lecz... trzeba ją będzie wyczyścić esencją herbacianą... podobno doskonały środek! No... a spodnie? Prawda... spodnie!

Kłoziewicz wyrostowuje nogę i z ukosa spogląda na nogawkę...

No... tak... niepodobna zaprzeczyć... ostrzępione u dołu! Z rana jednak zdawało mu się, że więcej! Jeśli krawiec obetnie, założy, przyprasuje... Stanowczo są zbyt długie... wreszcie... można je na szelkach opuścić...

Dziesięć rubli miesięcznie podwyżki!

Gdyby nie obawa, upomniałby się o nie już dawno... Nuż dyrektor odmówi? Wtedy... należy podziękować za posadę...

Dreszcz wstrząsnął Kłoziewiczem.

Żona... Janek... Stasia...

Trzeba czekać cierpliwie. Muszą przecie przypomnieć sobie, że on już tyle lat na jednej pensji siedzi!

I dlaczego?

Sam w głowę zachodzi — dlaczego? Inni awansują.

W początkach bolało go to, gryzł się trapił, noce bezsennie spędzał, niepojętym wysiłkiem woli bunt w piersiach tłumił, aby nie wybuchnąć... Powoli jednak przyzwyczaił się, zobojętniał, zżył się z tem... Zresztą żonaty musi...

Gdybyż przynajmniej otrzymał te dziesięć rubli miesięcznie więcej! Trudno... głową muru nie przebije!

Kłoziewicz ocknął się z zadumy, złożył starannie papier, na którym z takim mozołem zdołał pogodzić dochód z wydatkami i powrócił do przerwanej pracy.

Po chwili odrzucił pióro. Jedyny dzień w miesiącu, taki dziwny dzień, kiedy wprost nie może zmusić się do pracy. Powtarza się to stale i mija, gdy już otrzyma pieniądze, gdy się przekona, że i tym razem...

A kto wie?... Może dziś...

— Kłoziewicz!! — dobiegł z końca sali głos, któregoś z kolegów.

— Co? — zapytał apatycznie.

— Mam apetyt na lekkie śniadanko, z przyjemnością przełknąłbym ze dwa szkła i coś z bufetu! Może zrobimy interes! Gotów jestem trzymać... no tak do wysokości dziesięciu rubelków, bo to dziś...

Zachychotano wokoło.

Kłoziewicz milczał, tylko warg zadrgały mu nerwowo, a twarz wychudłą zpurpurowił rumieniec...

Pamięta... Przed dwoma laty tak był pewny podwyżki, że założył się z kolegami o wódkę z przekąską.

Raczyli się wtedy za jego pieniądze, ci... — łypnął nienawistnem spojrzeniem w stronę kolegów. — A jakże! Kanapki z kawiorem żarli, a tamten koniaczkiem się raczył, szubrawiec! Najedli się, napili i nc dziś dzień mają temat do żartów i kpiinek!

A dobrze mu tak... dobrze...

Czy oni rozumieją, co dla niego dziesięć rubli znaczy...

Przecie to suma, której brak tak dotkliwie odczuwa, ile razy spojrzy na swoją połyskującą marynarkę, na ostrzępione spodnie, na zniszczony żakiet żony, na wykręcone obcasy u Janka i Stasi, na spłowiałe kołdry na łóżkach, na pęknięty stół, na tę wazę z uchem utrąconem, z której żona codziennie czerpie dlań zupę łyżką, niegdyś, podobno, platerowaną, dziś zaś popstrzoną jakiemiś żółtawo zielonkawemi plamami!

Dziesięć rubli więcej i miałby dowód, że oceniają jego pracę, że widzą, jak gorliwie spełnia swoje obowiązki, jak się stara, jak czasu bezczynnie nie trwoni, jak znosi cierpliwie wszystko i za wszystkich!

Czy ślepi są do djabła, czy widzieć tego nie chcą?!

— Panie Kłoziewicz, proszę! — zawołał dyrektor, uchylając drzwi gabinetu. Kłoziewicz zerwał się, jak piorunem rażony, niezręcznie odsunął krzesło i na palcach, pochylony niezdarnie, wślizgnął się do pokoju dyrektora.

— Wezwałem pana, panie Kłoziewicz — spokojnym, miarowym, jak kroki szyldwacha, głosem rozpoczął zwierzchnik — aby zakomunikować...

Ciarki przebiegły po grzbiecie Kłoziewicza: w ciągu dziesięciu lat dziś po raz pierwszy dyrektor

zwraca się do niego osobiście... ma coś do zakomunikowania bezpośrednio... Zgiął się jeszcze bardziej i utkwił w twarzy szefa wzrok strwożony, starając się nadać oczom wyraz spotęgowanej uwagi, choć malował się w nich jedynie matowy aljaż obawy z rezygnacją maltretowanego urzędnika.

— Aby zakomunikować — powtórzył dyrektor — iż rada zarządzająca naszego towarzystwa postanowiła na wczorajszem posiedzeniu...

Ugięły się nogi pod panem Kłoziewiczem... Co może on mieć wspólnego z postanowieniami rady zarządzającej?... Czyżby się był omylił we wczorajszym wyciągu, który przygotował na posiedzenie rady?...

— W uznaniu pańskiej gorliwej i nieskazitelnej pracy przyznać panu podwyżkę w wysokości dwudziestu rubli miesięcznie... Winszuję panu i mam nadzieję, że ten krok ze strony rady zarządzającej doda panu bodźca do dalszej tem intensywniejszej pracy, panie Kłoziewicz!

Dyrektor zamilkł i skinął, przewidując ukłon urzędnika.

Kłoziewicz jednak nie złożył ukłonu.

Może nawet chciał... nie! W tej chwili on nie mógł chcieć! Stracił świadomość czynu i woli.

Dwadzieścia! Dwadzieścia rubli podwyżki!... Rada zarządzająca!... Uznanie gorliwej pracy!...

Boże!

Zawirował gabinet... biurko... dyrektor...

Instynktownie uchwycił za poręcz fotelu...

Oprzytomniał.

— Panie dyrektorze! wykrztusił. Pana dyrektor... wybaczy... to... jest... raczy... ja... ja... doprawdy... nie wiem... jak... z głębi serca...

— Ja... tak... nagle... nigdy się nie spodziewałem... nie oczekiwałem... dwadzieścia rubli... nawet nie marzyłem... w jaki sposób mam... podziękować...

— Dalszą pracą, panie Kłoziewicz, najlepiej pan podziękuje! No co? Dwadzieścia rubli przyda się zapewne?

— Czy się przyda?! — niemal krzyknął Kłoziewicz. Czy się przyda?... powtórzył z goryczą. Przez dziesięć lat, panie dyrektorze, co miesiąc... przed każdą pensją... O! bo pan nie wie... co to znaczy łamać sobie głowę nad tem ile i komu ująć... Wydatki z każdym rokiem rosły... Żona... potem dziecko... później drugie... Czy się przyda?! Dziś jeszcze... przed chwilą...

Odetchnął ciężko.

— Pan, panie dyrektorze, nie odczuwa, że mięso podrożało już o dwie kopiejki na funcie, ale ja to dobrze odczuwałem... i tak dziesięć lat... Na życie daj... mieszkanie płać... bucik kup... o każdym drobiazgu myśl... na wszystko miej! Gospodarz, rzeźnik, piekarz, szewc nie pytają, panie dyrektorze, zkąd masz wziąć... co ich to obchodzi!

Szef poruszył się, chcąc skrócić audjencję, lecz uszczęśliwiony urzędnik zdawał się nie widzieć tego.

Ubiegłe dziesięć lat przesunęło się w pamięci Kłoziewicza. Zapomniał, iż stoi przed zwierzchnikiem, który powiadomił go o postanowieniu rady zarządzającej. Obecnie, gdy podwyżka upragniona stała się faktem dokonanym, gdy marzenia przeistoczyły się w rzeczywistość, tem żywiej wystąpiły w pamięci godziny udręczeń, trosk, szamotań się w walce o byt, o jutro...

— Ileż to razy, panie dyrektorze, człowiek myślał, że mu się łeb na osiemdziesiąt kawałków rozpryśnie, gdy zaczął zsumowywać pozycje niezbędnych wydatków. Niestety! Cudotwórcą nie jestem, z rubla więcej po nad sto kopiejek nie wycisnę! Niechnoby rada zarządzająca usiadła na mojem miejscu, niechby musiała bez omyłki żonglować tysiącami gdy w kieszeni dziesiątek brak... I to lat dziesięć! Tak... Długich... dziesięć lat... psiakrew! psiakrew!

— Panie Kłoziewicz!

Kłoziewicz nie słyszał... Tyle goryczy spłynęło mu do krtani!... Słowa, jak psy spuszczone z łańcucha, biegły na oślep, cisnęły się po przez spruchniałe zęby...

— Naturalnie... — ciągnął dalej— co radę obchodzić może jakiś tam urzędniczyna? Kto z tych panów, pobierających tysiące, zastanawia się nad tem w jaki sposób taki osobnik, zajmujący miejsce przy biurku koniec z końcem związać zdoła? Płaci mu się przecież umówionie z góry wynagrodzenie. Mało mu? Nikt go nie trzyma. Niech idzie szukać czegoś lepszego, na jego miejsce tysiące innych z upragnieniem wyczekuje. Ba! Panowie często gniewacie się w duszy, że taki cymbał ani myśli pójść, że trzyma się mocno, jak pijawka! Macie do niego żal, że nie daje powodu, aby się go pozbyć i pozbawia was możności wyświadczenia komuś grzeczności dla podtrzymania stosunków wpływowych... Oceniając moją gorliwą pracę... powiedziałeś przed chwilą, panie dyrektorze! Więc wy za pracę płacicie?! Za pracę! A na jakiej to misternej wadze umiecie zważyć wartość mojej pracy? Dlaczego teraz dopiero? Dlaczego nie przed miesiącem... przed rokiem?...

Macie słuszność! Byłem gorliwy! Pracowałem przy biurku, wyślepiając oczy nad kolumnami cyfr... Lecz to nic jeszcze! Stokroć bardziej pracowałem nad sobą, nad zduszeniem ambicji własnej, nad zdeptaniem woli i ducha! Ile kosztowało mnie wysiłków i pracy, aby nie warknąć, gdy prokurent tępił na mnie swe przeostrzone nerwy, aby nie plunąć, gdyś pan, panie dyrektorze, dał mi odczuć zły humor — skutek nocnej hulanki lub histerycznego napadu twojej, z pewnością lepiej, niż ja, wynagradzanej przyjaciółki...

— Panie Kłoziewicz! Oszalałeś pan?!

— Pracowałem! Tak... pracowałem nad ułożeniem ust w uprzejmy zawsze uśmiech, a karku w uniżony ukłon! Miałem przykład na wielu z kolegów, co ukłon może! Pracowałem lat dziesięć i dziś nareszcie... rada zarządzająca oceniła...

Zaniósł się śmiechem spazmatycznym.

— Nareszcie! A już straciłem nadzieję! Dziś jeszcze ujmowałem sobie! Sobie samemu, panie dyrektorze! No, śmiej się pan! Przecież to musi być strasznie śmiesznem dla pana! Jakżeż to można ująć coś sobie samemu!

I, śmiejąc się do rozpuku, Kłoziewicz, splunął w stronę oniemiałego dyrektora, a otworzywszy na oścież drzwi gabinetu, wybiegł do biura.

— Czy wy wiecie — zwrócił się do przerażonych kolegów,—że rada na wczorajszem posiedzeniu... w uznaniu mojej... gorliwej... pracy... przyznała mi nareszcie... podwyż...

Zatoczył się i padł.

Podobno zwarjował.

KONIEC

Szlakiem wystaw malarskich

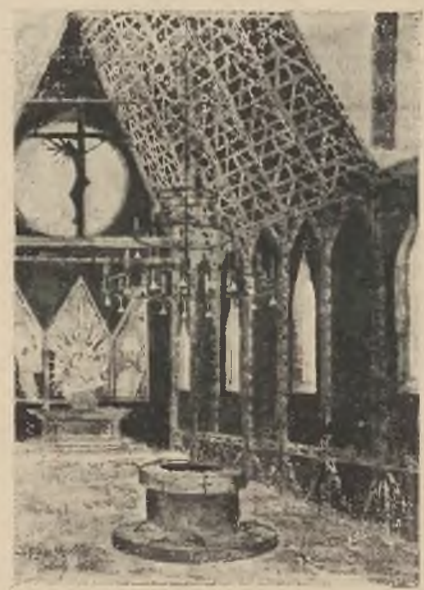
Kraków górą!

W krótkim czasie po najzupełniej udanej „Wystawie Niezależnych“ otworzono drugi salon, zorganizowany przez tę samą grupę incjatorów.

W sztuce ojczystej najwybitniejsze miejsce na wystawie zajmują Malczewski i Sichulski. Malczewski z ciekawym i, jak zawsze, zagadkowym autoportretem, Sichulski z imponującą liczbą płócien i kartonów, któremi raz jeszcze dowiódł, jak bogatą i wszechstronną jest jego twórczość. Typy ludowe, motywy architektoniczne i dekoracyjne, tematy religijne, kompozycje rodzajowe — olbrzymia, słowem, skala działalności, w której całkiem indywidualnie i z przepychem koncepcyj radzi sobie ten wybitny artysta.



Trepsze: Matka z dzieckiem



K. Sichulski: Wnętrze kaplicy (polichromia).

Salon krakowski otworzył gościnne podwoje ciekawej wystawie grafiki jugosłowiańskiej i impresjonistów francuskich.

Pierwszy raz zetknęła się nasza publiczność z twórczością braci-Słowian z południa. Aczkolwiek wystawa jest jednostronna, obejmuje bowiem tylko akwafory i litografje, daje nam jednak bardzo dodatnie pojęcie o twórczości artystów jugosłowiańskich, których dzieła stoją na niezwykle wysokim poziomie artystycznym, w którym znać zarówno głęboką kulturę, jak i całkowite opanowanie formy, pełne odczucie ruchu i mocny zdecydowany rysunek.

Wystawa węgierska, która od kilku dni gości w warszawskiej Zachęcie, ma charakter wybitnie propagandowy. Starannej organizacji wytrawnych praktyków, profesora Divecky i Beli Dery, zawdzięczać należy, iż wystawa obejmuje dobrany z ogromnym pietyzmem całokształt plastycznej sztuki węgierskiej z uwzględnieniem nawet nienadających się do propagandy wszelkich modernistów. Pierwsze miejsce na tej wystawie zajmuje potężna twórczość Michała Munkacsy'ego, którego obrazy tak chlubnie zapisały się na międzynarodowych wystawach światowych. Gdy patrzymy na potężną kompozycję artysty przedstawiającą Chrystusa, z oburzeniem myślimy o żółtodziobych krytykach, twierdzących, iż Mun-



Mesztrowic: Jezus modlący się.



W dniu otwarcia Wystawy węgierskiej.



Malczewski Jacek: Autoportret.



J. Zaruba: Portret p. H. B. (Prawdopodobnie panią H. B. okropnie bolały zęby, bo spuchła)

kacsy i inni do niego szczęśliwie podobni — to przebrzmiałe i przestarzałe wielkości.

Obok ciekawych i pięknych obrazów i rzeźb spotykamy bogate eksponaty węgierskich fabryk ceramicznych w Herend i Pecs.

Z jakiem dziwnem uczuciem schodzi się do formistów, którzy cudaczny swój obóz rozbili w dolnych salonach warszawskiej Zachęty.

„Forma", a właściwie poza w wyszukiwaniu nowych dróg wytrąca tych superindywidualistów z równowagi i prowadzi na manowce „kajecików Kazia" i to takiego, który ukradkiem pod nieobecność starszych wychylił co najmniej 5 dużych.

Wykoszlawione gęby to mają być portrety, nieokreślona mazanina farbami różnych plam to mają być pejzaże i t. d. — słowem niefrasobliwe stawanie na głowie do góry nogami, co może ma dużo wspólnego ze sztuką, ale w... cyrku.



J. Zaruba: Obraz. (Sądząc po stoliku, malowany był w barze).

Figlarze!

Pozują z zacięciem, lecz jeszcze więcej pozują od nich ci, co, błądząc po salach, wpadają w dziki zachwyt, nie mając na swoje usprawiedliwienie ani znawstwa, ani wybitnej indywidualności, właściwej artystom.



A. Pronaszko: Bitwa. (Utonęło wszystko w mgle brudnej farby, a wódz ma przypominać Marszałka Piłsudskiego.

REMIGJUSZ KWIATKOWSKI

Przymówki wschodnie)*

Nie bądź osłem ani posłem
nawet u mikada
i nie chadzaj z łbem wyniosłym,
nie bądź osłem ani posłem...

Kto sam sterem jest i wiosłem,
tego czci gromada —
nie bądź osłem ani posłem
nawet u mikada

Wielkość baszty mierzy cień,
zawiść — wielkość ludzi,
inne zdanie masz? sąd zmień,
wielkość baszty mierzy cień...

Nie spłowieją blaski lśnień,
potomność je zbudzi —
wielkość baszty mierzy cień,
zawiść — wielkość ludzi.

Psu, gdy dzwoni trzosem,
także mówią: panie,
uniżonym głosem
psu, gdy dzwoni trzosem...

Nikt nie kręci nosem
na to zachowanie —
psu, gdy dzwoni trzosem,
także mówią: panie.

Chcesz zakosztować goryczy,
bądź dobry albo uczynny,
każdy cię za to oćwiczy
i zakosztujesz goryczy...

Serce swe trzymaj na smyczy,
bo p'on zagarnie ci inny —
chcesz zakosztować goryczy,
bądź dobry albo uczynny.

Gdy dasz żmii misę mleka,
przysporzysz w niej jadu,
nic dobrego cię nie czeka,
gdy dasz żmii misę mleka...

Tak samo, gdy zły, człowieka
chroń się jako gadu —
gdy dasz żmii misę mleka,
przysporzysz w niej jadu.

---

*) *Serja „Przymówek wschodnich" Remigjusza Kwiatkowskiego ukaże się wkrótce w wydawnictwie książkowem „Arabeski".*

H. R. WOESTYN (Przekł. J. K)



Człowiek, który sprzedał swoją głowę



Wypadek nie miał w sobie nic specjalnie sensacyjnego, chociaż mógł był zakończyć się śmiercią.

Doktór Trezin stał właśnie w oknie swego gabinetu i mimowoli był świadkiem, jak z magazynu, mieszczącego się po drugiej stronie ulicy, wyszedł z gołą głową człowiek lat 60, by dojrzeć ładowania towaru na wóz. Dął silny wicher. Nagle na głowę tego człowieka spadła z balkonu pierwszego piętra duża doniczka, strącona przez wichurę.

— Ach, nieszczęsny! — wykrzyknął doktór i powodowany odruchem współczucia, wybiegł na ulicę, by udzielić pierwszej pomocy poszwankowanemu

Na dole zebrała się już pokaźna liczba gapiów. Doktór łokciami musiał między nimi torować sobie drogę. Jakież było jego zdumienie, gdy ujrzał poszkodowanego, stojącego, jak gdyby nigdy nic mu się nie wydarzyło. Zlekka tylko dłonią rozcierał potłuczoną głowę.

— Pan jest ranny — odezwał się Trezin. — Ja, jako lekarz...

— O, dziękuję, nic mi nie jest — odparł stary.

Inni sprzedawcy z tego samego magazynu pokładali się ze śmiechu:

— A to szelma, stary! Niema takiego drugiego na świecie!...

— Tak, ten się może pochwalić, że ma mocną głowę!

Doktór zdumiony, że wypadek zamiast współczucia, wywołał tyle drwin i konceptów, zapytał o powód tej niewczesnej, zdawało mu się, wesołości

— To pan nie słyszał o starym Cabrolu? — zapytał zdumiony ktoś z obecnych. — To istny cud przyrody... Ma czaszkę, od której odskoczyłby młyński kamień.

Lekarz, wysoce zaciekawiony, podszedł bliżej i z całą uwagą zaczął się przyglądać tej dziwnej w istocie głowie: łysej i pokrytej na wszystkie strony guzami i wypukłościami

— Gdzież do licha znalazłeś pan taką głowę? - zapytał wreszcie. — Przez cały czas mojej praktyki nie widziałem nigdy nic podobnego. To skarb, panie, taka głowa!

Stary wysłuchał tych słów bez najmniejszego zdziwienia i odpowiedział:

— Wiem o tem, panie doktorze.

— W takim razie, ma pan mój bilet wizytowy. Gdyby się pan kiedy zdecydował sprzedać swoją głowę dla celów naukowych, proszę o mnie nie zapominać.

Doktór wrócił do domu, a zebrani coraz to głośniej drwili i wykpiwali ze starego.

*



Upłynęło parę miesięcy. Doktór zapomniał zupełnie o wypadku, gdy pewnego dnia wszedł do jego gabinetu stary Cabrol.

—A to pan! — wykrzyknął, poznając go odrazu. — Co też pana sprowadza?

Stary usunął się na krzesło, stojące przy biurku i odezwał się stłumionym głosem:

— Przychodzę w wiadomej sprawie.

Doktór zmarszczył brwi, pragnąc sobie przypomnieć o co chodzi.

— Otóż, panie doktorze, straciłem posadę. Uważają, że jestem za stary do pracy. Do tej pory żyłem z uciułanych oszczędności, ale dzisiaj ujrzałem dno sakiewki, więc przyszedłem do pana.

— Mój przyjacielu, — odrzekł lekarz — współczuję panu bardzo, ale niestety nie widzę, w czem mógłbym być panu pomocny.

— Jakżeż to pan doktór zapomniał, że chciał kupić moją głowę?

Doktór słuchał w zdumieniu.

— Ileżby pan za nią chciał?

— Nie wiem. To pan musi ocenić.

PAWEŁ KUBISZ



Niewyczerpaną w swojem bogactwie jest skarbnica poezji ludowej. Zachowując pisownię i gwarę góralską zamieszczamy jedną z pięknych legend tatrzańskich w opracowaniu młodego poety, pochodzącego z Tatr.

Szli se zbuje od Krzyża Białego,
Szli przez Sławicz w doline Ostrego.
Szli zbujnicki, pieśniczki śpjywali –
Na piszczołkach strasznie pieknie grali...

Kansi idą zbuje, raźno — młodzi,
A na przodku Ondraszek przewodzi,
Zbuj ogrómny, jako jedla szumny —
Choć je w gúńce, idzie. jak król dumny.

Idą zbuje, pieśniczki śpjywają,
Grónie echem z podziwu hukają...
Smreki wiater z lęku rozkołtónił,
Po Beskidach muzyką zadzwónił.

Hej! tam dali — we beskidzkij dolinie
Skryto Kasia siedzi w borowinie,
Kasia hardo, co mo modre łoczy —
Ku nij Ondraszek powolutku kroczy.

„Stój Kasienko — dziołuszko ma miła
Boś ty zbuja dusze polubiła!
Zebierym jo ciebie Kasiu w światy —
Ty mi bejesz królową z pod chaty.

Dóm ci pereł, dóm wszyckie klejnoty
Dóm ci koral weneckij roboty.
Bedziesz żoną, żoną zbuja przecie
Co jak orzel sóm żyje na świecie!“

„Nie, Ondraszku — nie pochynę chaty,
Tam jest łojciec, tam matka i braty,
Tam jo bjydno w chałopie się zrodziła—
Tam mi umrzyć, tam naszo mogiła!“

Skoczył zbujnik, Kasie ucałowoł —
I korale dziołusze darowoł...
— Mosz pamiontke—rzeknył do ni zcicha
Od Ondraszka. słońskigo zbujnika.

I zagwizdoł na zbuji w gęstwinie —
I pieśniczka dali szumno płynie.
Idą zbuje, podkówki im dzwónią
I toporki mocno dzierżą dłónią.

Idą, idą, pieśniczki śpjywają —
Grónie echem z podziwu hukają!
Smreki wiater z lęku rozkołtónił,
Po Beskidach muzyką zadzwónił..

—A czy panu wiadomo, do czego ma mi posłużyć pańska głowa?

— Domyślam się: do badań, gdy umrę, nad niezwykłą grubością mojej czaszki.

— Słusznie. Wobec tego zostawię panu głowę na karku, aż do pańskiej śmierci.

— Oczywiście. Więc ile za nią dostanę?

— Uważam, panie Cabrol, — odparł doktór, — że 12.000 franków będzie dobrą ceną

— No tak, mogę na nią przystać.

— Muszę tylko zaznaczyć — dodał doktór, — że nie rozporządzam tak znaczną sumą jednorazowo. A zresztą chcę pana mieć na oku. wypłacę więc panu, jako zaliczkę 1000 franków odrazu, a potem po 1000 franków co miesiąc. Będzie sobie pan mógł pohulać. Byleby nie za bardzo, żeby czasem **mojej** czaszki nie uszkodzić.

— Oho, jak się pan doktór śpieszy, jeszcze jej nie sprzedałem.

— Tak, to prawda...

— Ale, ale — zagadnął stary, — a co będzie, jeżeli umrę przed wypłaceniem całkowitej sumy?

— W takim razie, jabym zrobił interes, — odrzekł doktór — choć nie sądzę, by się tak zdarzyło. Ma pan dopiero lat 60, stan zdrowia doskonały. Prędzej może się trafić, że to pan będzie na moim pogrzebie. I w takim razie wpadłbym co się zowie.

— Przepraszam! Ma pan przecież spadkobierców.

— Wie pan, nie wyobrażam sobie, coby moja żona robiła z pańską głową...

— Zresztą — zawołał doktór, zlekka już zniecierpliwiony — niema o czem mówić. Dobijamy targu, czy nie?

— Dobijamy, panie doktorze. Od tej chwili głowa moja do pana należy — westchnął ciężko Cabrol

*

Rzeczy ułożyły się normalnie. Doktór co miesiąc uiszczał się z należności. Raz tylko skrzyczał starego, który przyszedł z podbitem o-

(Dalszą ciąg na str. 13).



Prezydent Rzplitej na zjeździe strzelców.



Zjazd organizacyj pożarniczych w Warszawie



Trupa polska, zorganizowana przy udziale młodzieży szkół średnich, wyjechała w celach propagandy do Bułgarji i Rumunji.



Zjazd wojewodów w Warszawie.



Na naszem pograniczu wschodniem: Kontrola patrolu obok wiechy granicznej.



Uniwersytet katolicki w Lille uroczyście obchodził jubileusz, na który zjechali się liczni delegaci z zagranicy.



Na naszem pograniczu wschodniem: Przyłapanie przemytników z zasadzki.



Dowódcy zjednoczonych sił mocarstw obcych w Chinach: Vice admirał Sir. R. Tyrwith i generał J. Duncan.



Zagroda z drutu kolczastego oddziela zagraniczne koncesje w Szanghaju od miasta, opanowanego przez kantończyków.

WIKTOR PRZECŁAWSKI (*Z nieogłoszonych materjałów*)

Powstańcy r. 1863 na zesłaniu

VIII

Garstka wrażeń przedpowstaniowych

Wdowa po ś. p. Wincentym Colonnie-Walewskim, zasłużonym obywatelu i prezesie T-wa Kredytowego w stolicy, nadsyła nam następujące jego wspomnienia osobiste z lat, poprzedzających powstanie 63 roku:

Rok 1861 był rokiem obudzenia naszych narodowych dążeń i aspiracyj. Ze studjów, odbywanych zagranicą, w Lowanium, przyjechałem do domu na wakacje.

Przykład Włoch ożywiał nasze nadzieje. Zdawało się i nam, iż nadszedł czas otrząśnięcia się z letargu i rozpoczęcia nanowo żywota, jako wolny naród.

W parafji mego ojca, w Sulmierzycach, jako osiemnastoletniemu młodzieńcowi, udało mi się zebrać chór, któremu przewodniczyłem. Zapewnić mogę, iż, gdyśmy śpiewali „Ojczyznę wolną racz nam oddać, Panie", słowa te nie były wygłoszone obojętnie — był to okrzyk uczuć naszych serc. W jeden takt biły wszystkie, a nasz zapał wewnętrzny znajdował ujście w śpiewie. Ten śpiew nas umacniał, krzepił i rozpalał nadzieje.

W sprawach mego ojca udałem się na dni kilka do Warszawy. Trudno opisać zdziwienie, które mnie ogarnęło, gdy w godzinę po przyjeździe zastałem w hotelu wydrukowane pod moim adresem wezwanie do stawienia się przed jedenastą na placu Saskim oraz nominację na konstabla dla pilnowania porządku w tym rewirze przy pogrzebie księdza arcybiskupa Fijałkowskiego.

Nazajutrz posłuszny wezwaniu, pełniłem na placu Saskim swe obowiązki.

Ksiądz-arcybiskup Fijałkowski był wyrazicielem narodowych aspiracyj kraju. Ostatnie jego polecenie do duchowieństwa, „aby się nigdy nie odłączało od narodu ale wespół z nim trwało w miłości Ojczyzny i, cześć przechowując, kroczyło drogą powinności dla niej", przechodząc z ust do ust, budziło jeszcze większy żal i większe uwielbienie dla zmarłego. Nic dziwnego, że, oddając należną cześć zasłużonemu kapłanowi, chciano wyzyskać tę chwilę dla uczynienia wielkiej narodowej manifestacji.

Przy niezliczonych tłumach ludzi Udała się wybornie.



Bitwa pod Węgrowem

nigdzie porządek nie został zakłócony. Demonstracja miała charakter poważny i uroczysty. Skupienie ducha ujawniało się milczeniem i



Powstańcy wielkopolscy

niebywałą ciszą tłumów, zalewających ulice. Na posterunku, gdzie tałem, nikt nie mógł przechodzić bez mego pozwolenia, nie dostawszy piśmiennego dowodu, który przechodzień miał znowu pokazać pomocnikom moim, rozstawionym na obszernym placu i przy bocznych ulicach.

Dziwnie się wtedy pozmieniały role. Zdarzyło się, naprzykład, iż niedawno przezemnie żegnany profesor Instytutu Szlacheckiego, Stanisław Przystański, zaszczytnie znany na polu naukowem, musiał prosić byłego ucznia o pozwolenie przejścia przez plac i dojścia do dalszej ulicy. Nigdy pojąć nie mogłem, jakim sposobem można było tak niesłychanie prędko dowiedzieć się o mojem przybyciu do Warszawy. Widocznie Rząd Narodowy posiadał nadzwyczajną policję, błyskawicznie informującą o wszystkiem.

Nazajutrz odwiedziłem w pałacu Brühlowskim moją siostrę, stryjeczną synowę Naczelnika Kraju, margrabiego Wielopolskiego. Znajdowali się tam po przeżyciu okropnych chwil z tego powodu, że dzieci mej stryjecznej siostry, jeszcze prawie w kolebce, o mało co nie zostały otrute, gdyż fanatyzm najlepszą sprawę splamić może. Dano im czerkiesa do dozoru. Ten nagromadził kilka butelek z piwem, które w cieple wystrzeliły. Huk niespodziewany a przeraźliwy czynił wrażenie zamachu.

Warszawa przeżywała chwile pulsującego gorąco życia. Przejawiało się ono nawet w dzieciach, w ich zabawach i dowcipach. Sam widziałem, jak kilku wyrostków związało razem zgraję psów, a gdy je rozdrażnili do ostateczności, jeden z miną serjo podchodził, mówiąc: — panowie, rozejdźcie się; — za chwilę powtarzał: — panowie, powtórnie proszę się rozejść; — a za trzecim razem: — rozejdźcie się, bo daję ognia!

Ostatnie słowo było hasłem do ucieczki.

Wtedy wszyscy w nogi, i żaden policjant nie był w stanie ich odnaleźć dla ukarania dowcipnych malców.

Tak się zapisało w mej pamięci kilka dni z pobytu w Warszawie w roku 1861.

(dalszy ciąg ze str. 9)

kiem po jakiejś pijatyckiej awanturze i zagroził, że jeżeli się to powtórzy, płacić będzie tygodniowemi ratami.

Kiedyś znowu Cabrol miał pretensje do doktora o to, że ten chcąc dowieść odporności jego czaszki wobec kolegów, tłukł mu na głowie garnki. Ale naogół stosunki między nimi były poprawne; Cabrol stosował się sumiennie do żądań doktora, który kazał mu omijać rusztowania, nie przechodzić na ulicy pod drabinami, uważać na auta, patrzeć, czy kominy nie grożą zawaleniem a gzymsy oberwaniem — unikał słowem wszelkich okazji do uszkodzenia sobie głowy.

Jednak po jakimś czasie, gdy Cabrol zapomniał już o nędzy, która mu groziła przed zawarciem paktu, zaczęło go trapić, a wkrótce zmorą mu się stała myśl, że głowa przestała być jego.

— Mam ręce, — rozmyślał, — które się poruszają, nogi, które chodzą i wszystko to jest mojem, ale tylko do szyi. I któż to wszystko w ruch wprawia? Głowa — należąca do kogo innego. To straszne.

Pewnego dnia poczuł się niedobrze. Narazie miał zamiar pójść się poradzić do doktora Trezina, ale porzucił ten projekt.

— Jeszcze mi przepisze jaką truciznę, żeby się mnie pozbyć.

I udał się do innego lekarza .

W parę dni potem Cabrol otrzymał wiadomość o zgonie jakiegoś dalekiego krewnego, który mu zapisał 50.000 franków.

Pobiegł w te pędy do kancelarji rejenta, a gdy ten go zapytał ze śmiechem:

— Co też pan myśli robić z takim majątkiem? Odrzekł bez wahania:

— Pierwsza rzecz, odkupię sobie głowę.

Rejent sądził, że ma przed sobą warjata, który postradał zmysły naskutek gwałtownej radości spowodowanej nieoczekiwanym spadkiem. To też z zadowoleniem podał mu rękę na pożegnanie.

Cabrol tymczasem, jak strzała, pomknął do d-ra Trezina.

— Czego pan chce? Przecież dziś nie termin.

Stary nie dał mu dokończyć.

— Głowa moje, panie doktorze, głowa!

— Cóż jej się stało? Zawsze byłem pewny, że jej pan coś zrobi!

— Ależ nie! Przychodzę ją odkupić.

— Odkupić? Cóż to spadek pan odziedziczył?

Cabrol rzucił mu na stół całą plikę banknotów.

— Ma pan z procentem wszystko co mi pan wypłacił. Niech mi pan tylko odda moją głowę!

— Dobrze, panie Cabrol—rzekł doktór — rozumiem pańską chęć i zadość jej uczynię, ale pod jednym warunkiem: niech mi pan zapisze swoją głowę po śmierci w testamencie.

— To, to mogę — zawołał uradowany Cabrol — byleby głowa moja należała do mnie do końca moich dni.

Cabrol nigdy jeszcze nie czuł się tak szczęśliwy, jak, gdy dnia tego opuszczał próg doktora.

KONIEC

Plebiscyt „Famulusa“

Jakich kobiet nie lubią mężczyźni?
Jakich mężczyzn nie lubią kobiety?

CENIMY W WAS ROZUM I SERCE..

Było tak dawniej, że mężczyzna imponował kobiecie swą przewagą fizyczną. Im który jej więcej posiadał, tem bardziej lgnęły do niego serca niewiast.

Czasy jednak brutalnej przemocy minęły bezpowrotnie. Dziś mężczyzna, posiadający tylko silne i zdrowe ramiona, a pustkę w głowie i w sercu, jest dla kobiety śmieszny i wstrętny.

Współczesna kobieta szuka w mężczyźnie siły, jak dawniej, ale siły moralnej. Taką siłą jest jego rozum, wykształcenie i serce wrażliwe, zdolne odczuć tajniki duszy kobiecej, zrozumieć je i dać im zaspokojenie.

Gdyby mężczyzna niejeden wiedział, jak śmiesznym się staje, gdy głosi staroświeckie teorje na temat pana i służebnicy, którą winna być kobieta, nigdyby nawet pary z ust nie puścił na ten temat, bo każda odwróci się od niego z ironją i politowaniem.

Tak, panowie mężczyźni, cenimy w was dzisiaj rozum i serce, a nie wartość zwierzęce.

Anna P. Mława



DLA NIEKTÓRYCH TATARSKIE RADY...

Spędziłem dłuższy czas w latach wojny wśród Tatarów w Rosji. Wiadomo, że kobiety tatarskie są wyjątkowo piękne. Cieszą się też dobrem traktowaniem swych mężów, którzy jednak pod pewnemi względami bardzo krytycznie zapatrują się na swe małżonki.

Oto, jakie znajdujemy między innemi rady w „Podręczniku dobrego tomu“, wydanym przez Mustafę Urasa:

— Nie powierzaj żadnej tajemnicy żonie i nie ufaj jej wierności, nawet gdy udaje pobożną.

— Nie mów z nią nigdy o interesach i nie dawaj zbyt dużo pieniędzy.

— Nie pożyczaj niczego od żony, bo srodze za to odpokutujesz.

— Żona nie powinna nigdy opuszczać domu bez ciebie, jeżeli to uczyni, zejdzie na bezdroża.

— Gdy cię zdradza, wymierz jej sto batów i rozwiedź się.

Nie jestem zwolennikiem tatarskich metod postępowania, jednak uważam, że względem niektórych naszych kobiet współczesnych tatarskie rady mogłyby być z powodzeniem zastosowane.

St. W. Wilno.

Zwierzęta, które strzelają...

W jaskiniach, które w odległych czasach, bo 30.000 lat temu, służyły za mieszkanie naszym przodkom, znaleziono na ścianach obrazki, przedstawiające ludzi polujących. Nadzy myśliwi napinają ogromne łuki. Są to bodaj najstarsze dokumenty używania amunicji przez ludzi.

Przez ludzi? Ograniczenie napozór śmieszne: któżby — prócz człowieka — umiał strzelać?

Odpowiedź brzmi — zwierzęta!

Oto mamy, naprzykład, małą larwę mrówkolwa. Owad to mały, podobny do linji. Mieszka sobie to drapieżne zwierzę, będące „zadatkiem“ na mrówkolwa, który się z niego z czasem rozwinie — na dnie lejka, wykopanego „własnoręcznie“ w piasku; siedzi sobie tam i czyha na ofiarę.

Gdy się przypadkiem do brzegu lejka zbliży mrówka lub inny owad, zaczyna się regularne ostrzeliwanie wroga. Niezwykle celnie i zręcznie rzuca mrówkolwiątko ziarenka piasku, jedno po drugiem, aż zdezorjentowany nieprzyjaciel straci równowagę i ześlizgnie się po zdradliwej pochyłości lejka — okopu, gdzie dostaje się w pazury nienasyconego zwierzaka. Mamy więc do czynienia ze zwierzęciem, strzelającem ziarenkami piasku, jak my strzelamy do ptactwa śrótem.

Nagle, któregoś pięknego poranka, nasz lew porzuca swą pozycję, zasypia sobie, jako kokon — a później wyfruwa na świat Boży, jako przystojny uskrzydlony owad..

Rodzina ryb też może się poszczycić łowieckiemi zdolnościami jednego ze swych członków.

Ryba, zwana właśnie dzięki swym zdolnościom „rybą-strzelcem“, poluje na muchy w następujący sposób:

Jeżeli blisko powierzchni wody los posadzi nieszczęsną muchę, nasz strzelec podnosi się do samej prawie powierzchni i z zadziwiającą celnością strzela w upatrzoną ofiarę... kroplą wody. „Strzelec“ nie chybi nigdy, nawet na odległości od 2 do 3 metrów!“ „Opluta“ mucha wpada do wody, a tu już rzeczą łatwą jest ją zdobyć... wystarczy otworzyć usta.



Ryba — strzelec



Mrówkolew

Ryba ta jest popularnym gościem w akwarjach.

Pewnego razu, gdy jakiś uczony obserwował rybę, stojąc nad akwarjum, strzelec nasz, wziąwszy oko badacza za jakiegoś owada, począł je bombardować.

Znanym strzelcem w „kołach zwierzęcych“ jest kameleon, którego strzelbą jest — własny język. Siedzi sobie taki kameleon na gałęzi, nieruchomy, zda się — śpi. Jedynie oczy, wciąż obracające się niezależnie jedno od drugiego, jedno naprzód, drugie wtył, są dowodem, że pan myśliwy czuwa. A teraz biednej musze zachciało się spocząć na liściu. Oczy zwierzęcia momentalnie skierowują się tam. Na zielonej jego skórze ze wzruszenia tworzą się czarne i bronzowe plamy. Nagle długi język z chyżością strzały wyjeżdża z paszczy i przygważdża muchę.

Kilka gwałtownych ruchów i... kameleon znów siedzi nieruchomy i wypatruje ofiary.

Odmiana węża-okularnika, t. zw. „wąż-plwacz“ ułatwia sobie polowanie w ten sposób, że oślepia swą ofiarę przez wyplucie na nią jadu. Przez długi czas uczeni nie chcieli wierzyć tym opowiadaniom, aż wreszcie jeden z nich naocznie się o tem przekonał. Pies jego przypadkiem znalazł się w pobliżu okularnika, który natychmiast „stanął“ w pozycji bojowej. Kiedy zaś pies swem zachowaniem zaczął zdradzać chęć przejścia do ofensywy, wąż prosto w oczy jego lunął deszczem kropel jadu. Oślepione zwierzę cierpiało okropne męki. Więc w tym wypadku zabójcze działanie jadu nie polega na ukąszeniu lecz służy, jako straszna broń na odległość.

Jeśli tu bronią jest jad, w innym zaś wypadku ziarno piasku lub własny język, istnieją także stworzenia, które prawdziwemi strzałami obrzucają własnych współbraci, a raczej współsiostry. Otóż ostrzeliwanie to nie jest podyktowane wrogiemi zamiarami, ale wprost przeciwnie jest formą miłosnych oświadczyn w świecie zwierzęcym!

Te strzały Amora znajdujemy u znanych i nudnych ślimaków. Oni to są tymi wyjątkowymi strzelcami.

Po deszczu, latem, można zaobserwować takie zjawisko: łażą sobie grupki ślimaków z wysuniętemi naprzód różkami, i nagle, ku naszemu zdziwieniu, widzimy, jak jeden ślimaczek wyrzuca w powietrze miniaturową strzałkę, a po chwili spacerująca obok panna ślima-



Skunks (śmierdziel amerykański)



Wąż — plwacz

kówna staje dęba, jak spłoszony koń. Co się stało? Pan ślimak strzelał wapienną kulką, wyrzuconą w powietrze przez nagły ucisk mięśni... Najciekawszą rzeczą w tym wypadku jest powód, dla którego strzelał pan S... Otóż ślimaki ostrzeliwują się wzajemnie, bo to im szczególną sprawia przyjemność. Cała ta strzelanina jest introdukcją do weselnych godów... Tak, jak mysikrólik swojej żoneczce piosenki wyśpiewuje, by się jej przypodobać, jak paw dumnie roztacza swe pióra, by blaskiem lśniącego ogona zdobyć serce „pawówny", ślimak to robi na swój sposób: ostrzeliwują swe ślicznotki „strzałami miłosnemi", jak zoologowie nazwali wapienną amunicję ślimaka.

Do strzelających zwierząt można zaliczyć też skunksy, znane pod mniej szlachetną nazwą amerykańskich śmierdzieli. Broń tego zwierzęcia jest straszna



Kameleon

gruczołów skunksa niewątpliwie go dosięgnie! A ma wydzielina woń okropną. w działaniu! Biada myśliwemu, który nie ubił odrazu śmierdziela! Gdy się niebacznie zbliży do rozdrażnionego postrzałem zwierzęcia, straszny produkt Ubranie, splamione tym „gazem trującym", musi zostać spalone, myśliwy, opieczętowany przez mściwego skunksa, długo nie może bywać między ludźmi, gdyż uciekliby, jak od zarazy. Po długiem leżeniu myśliwego w gorącym piasku woń tylko częściowo znika, a na miejscu, gdzie zakopano ubranie strzelca, miesiącami czuć jeszcze straszną broń skunksa, zwierzęcia, dostarczającego ładnych futer.

Zwierzęta więc, jak widzimy, nietylko gryzą i plują, ale umieją narówni z panem stworzenia, człowiekiem, posługiwać się bronią, nieraz nawet umiejętniej i bardziej celnie, niż on. S.



RADJO A TEATR

W ostatnich czasach mieli możność radjo-amatorzy słyszeć nadawaną sztukę „Świt, dzień i noc".

Długo, bardzo długo ciągnęły się rokowania między dyrekcją Polskiego Radjo a p. Szyfmanem. Odmowne stanowisko swoje argumentował p. Szyfman małą i tak frekwencją, która zmniejszyłaby się jeszcze przez zapoznawanie publiczności przy pomocy mikrofonu ze sztukami granemi.

Tego też należałoby się według wszelkiego prawdopodobieństwa spodziewać.

Ostatecznie pertraktacje się skończyły, a dyrekcja teatrów Polskiego i Małego zgodziła się na wystawienie tej sztuki, ale nie w całości.

I oto w Studjo przy ulicy Kredytowej zabrzmiały słowa pierwszego aktu tej przemiłej komedji...

Nazajutrz miała być grana w teatrze Małym.

Dzieją się rzeczy na niebie i ziemi, o których się... p. Szyfmanowi nie śniło. Kasa teatru oblężona. Wszyscy chcą zobaczyć na scenie to, co słyszeli.

Tak radjo spełnia rolę, której nie spodziewało się wcale — zapełnia sale teatralne.

Paradoks prawie.

Jeżeli już mowa o teatrze, to trudno nie wspomnieć o dość charakterystycznym fakcie.

Od chwili otworzenia warszawskiej radjostacji toczą się rokowania ze stołeczną operą o transmitowanie przedstawień wprost z sali Teatru Wielkiego.

Opery będziemy mogli słyszeć, nawet na detektorach... ale z Wiednia, zaczęto bowiem omawiać sprawę kilka tygodni temu — i już prawie ukończono...

W dniu podobno „urzędują" po austryjacku. J. M.

NIEMCY O POLSKICH SŁUCHOWISKACH RADJOWYCH

Ostatni numer jednego z najpoważniejszych niemieckich pism radjowych „Der Deutsche Rundfunk" zawiera duży artykuł, poświęcony rozwojowi radjofonji polskiej i działalności radjostacji warszawskiej.

Autor artykułu w nader pochlebnych słowach wyraża się o audycjach ostatnich radjostacji warszawskiej poświęcając specjalną uwagę inscenizacji słuchowisk radjowych, a zwłaszcza odegranemu ostatnio przed mikrofonem stacji warszawskiej „Polowaniu na głuszca", fragmentowi powieści Weyssenhoffa „Puszcza".

W końcu autor podkreśla doskonałe opracowanie i odtworzenie tła akustycznego tego słuchowiska, wyrażając nadzieję, że w niedługim czasie również stacje niemieckie będą nadawały tego rodzaju słuchowiska radjowe.

Prenumeratorzy „Famulusa" otrzymywać będą w najbliższym czasie specjalny dodatek radjowy z uwzględnieniem programów i szematów.

POMORSKA WYSTAWA RADJOWA

W sobotę o godz. 6-ej popołudniu została uroczyście otwarta Wystawa Radjowa w Toruniu. Hołdując nowoczesnym prądom porozumiewania się, uroczystość tę uświetniono oryginalną komunikacją radjową. W chwili, gdy zakończył przemówienie wojewoda Młodzianowski, w salach Wystawy rozległ się głos Polskiego Radja, witający zebranych gości. W chwilę potem na innej fali 3750 m. stacja telegraficzna Poznańska wywołała Toruń przeciągłym sygnałem t... poczem wystukano powitalną depeszę, nadaną przez Ministerstwo Poczt i Telegrafów. Na miejscu telegrafista wojskowy notował sygnały Morsego na tablicy, poczem wpisano litery, odtwarzając tekst depeszy.

Dwa te fakty wywarły silne wrażenie na zebranych, którzy mało jeszcze obeznani z techniką radjową nie zdawali sobie sprawy z tak łatwej a różnorodnej komunikacji. Tłumy osób zebranych na rynku słyszały przez megafony obie nadane wiadomości pod adresem Torunia.

MODA





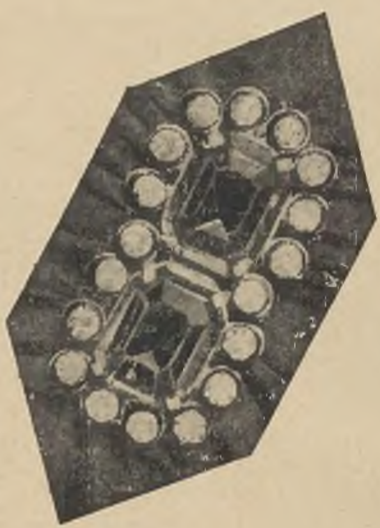

Sztuczne świecidełka! Fi donc... wołano ongiś, pozostawiając biżuterję wybrańcom losu, którzy mogli sobie na ten luksus pozwolić.

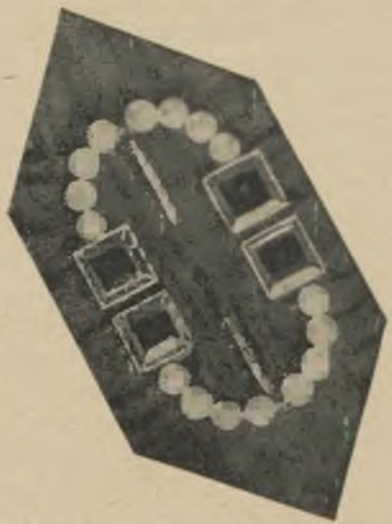
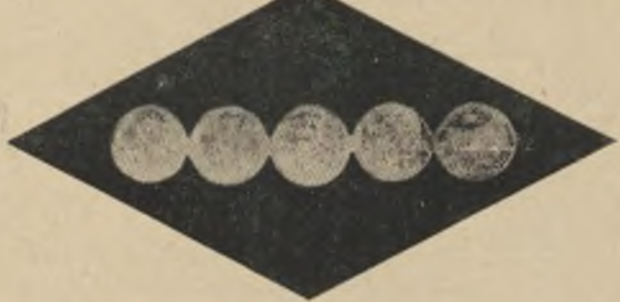
Niezbadane są jednak kaprysy mody. Dziś bowiem imitacje drogich kamieni, o ile chodzi o przybranie stroju, powszechnie są używane w agrafkach broszkach, szpilkach, baretach i koljach.

Zaczęło się od pereł Técla, lepszy lub gorszy orjent, tańsze czy droższe — wszystkie Panie nosić je zaczęły. Dziś, cokolwiek sprzykrzyły się, miejsca ustępując innym kamieniom, lub poprostu kryształom, nizanym na kolorowym sznurku.

Rubiny, ametysty, szmaragdy, szafiry wchodzą do najrozmaitszych ozdób, które, przyznać musimy, niezmiernie korzystnie podnoszą wdzięk stroju, ożywiając skromne kontury, w których lubuje się dzisiejsza moda.

Jak zwykle, pewne dziwactwa. Oto bowiem spotykamy, jako ostatni wykwint mody, zegarki platynowe na skórzanym pasku. Prawda, że pasek jest cieniutki, platyna i skóra to jednak niezwykła kombinacja.





TOSKI WIOSENNE

Wiosna, ta cudna, opiewana przez poetów wiosna, jest przyczyną niejednego rozpacznego westchnienia pięknej (któraż nie jest piękna?) pani i bynajmniej nie wywołują tych wzdychań niecne strzały Amora, który już oddawna wyłamał się z ogólnych praw przyrody i działalność swą rozwija z powodzeniem w każdej porze roku.

Nie, przyczyna jest inna!

Piękna pani wzdycha, patrząc w lusterko... Nienawidzi wiosny, wiecznego wroga wrażliwej cery. I wzdychając rozpoczyna wędrówkę po, mnożących się u nas jak grzyby po deszczu, gabinetach kosmetycznych, co wprawdzie doskonale zabija czas i opróżnia portmonetkę, ale nie dla każdej bywa przystępne i nie zawsze celowe. A jest dużo prostych, absolutnie niewinnych środków, które szybko usuwają wszelkie ostrości i zaczerwienienia skóry, a zwłaszcza te nieznośne ciemne plamki, któremi pierwsze słońce szpeci twarzyczki (Nie mówię o piegach, o których wkrótce obszernie napiszę).

Oto kilka przepisów, które warto spróbować.

Więc mleko ogórkowe, które należy wcierać na noc, a rano zmywać bardzo gorącą wodą, poczem przetrzeć leciutko twarz cola-creamem. Dobrym jest również płyn przygotowany ze 100 gr. wody różanej, 1 gr. kwasu bornego i 5 kropli miodu, lub nawar z kwiatu lipowego, (30 do 40 gr. na litr wody), którym zmywanie przeciwdziała znakomicie figlom wiosennego słońca. Czerwoność nosa (o ile nie jest wywołana niedomaganiem wewnętrznem, lub zapaleniem tkanek), usuwa płyn, składający się z 10 gr. boraksu, małej łyżeczki dobrej wody kolońskiej, rozpuszczonych w 150 gramach gotowanej wody; skuteczny jest również nawar kwiatu lipowego (15 gr.) i boraksu (2 gr.). Świecącym noskom dobrze robi wcieranie co wieczór maści, przygotowanej z 15 gramów soku cytrynowego i 5 gr. talku w pudrze.

Zaczerwienienie całej twarzy usuwa następujący środek: pół litra wody oranżowej, (można kupić w składzie aptecznym, lub przygotować samej nawar skórek pomarańczowych) 25 gr. gliceryny i 5 gr. oczyszczonej sody. Zawsze przed użyciem należy dobrze wstrząsnąć flakon z płynem. Zastosowywać trzy razy dziennie, nie zmywać zaraz lecz przypudrować po wyschnięciu czystym ryżowym pudrem.

Dla amatorek bardziej skomplikowanych procedur mam groteskową, ale podobno niezawodną, jak zaręcza Henri de Mondeville, receptę, której używały piękne damy wieku XVI, a mianowicie:

Surowe jajko kładzie się ze skorupką w ocet. Gdy skorupka zmięknie, należy jajko wyjąć z octu i rozetrzeć ze sproszkowaną najlepszą gorczycą. Natarta tą maścią twarz, staje się, jak zapewnia współczesny znawca kobiecych wdzięków: „miękka, jak aksamit i przyjemna w dotknięciu".

Czy pocałunki składane na takiej octowo-musztardowej buzi są miłe, o tem de Mondeville nie pisze?

Rek.



WYPRAWA PO KWIATKI



— Tyle trudu, psiakrew, żeby ten kwiatek dostać, a tu ten głupi kozioł...

SIŁA PRZYZWYCZAJENIA

Służąca (oznajmiając przyjście na świat potomka):

— Proszę pana, chłopak!...

Redaktor (nie przestając pisać) Niech zaczeka! Zaraz daję rękopis.

OSTTATNIA PROŚBA

Kat do skazanego: — Jaki rodzaj śmierci wybierasz sobie? Elektryczność, szubienicę, czy gilotynę?

Skazany: Prosiłbym o powolne ztrucie alkoholem.

SŁABSZA PŁEĆ

— Cóżeś taki posiniaczony? Kto cię tak poturbował?

— Et, glupstwo... Widzisz, ja jestem postępowiec, a żona konserwatystka. Ja byłem za równouprawnieniem kobiet, a żona przekonywała mnie, że kobiety są płcią słabszą.

PRZEDWCZEŚNIE

— Serdecznie ci współczuję straty żony...

— I to właśnie, kiedy się do niej zacząłem przyzwyczajać...



WIELKA PARADA

Szereg krytyków, pisząc o „Wielkiej Paradzie", rekordowym filmie King Vidora, szumnie rozwodzi się o duchu pacyfizmu, którego doszukują się, jako założenia tej nowej kreacji.

Śmiem twierdzić jednak, iż filmowy „duch Locarna" w „Wielkiej Paradzie", mało różni się od tego papierowego z dyplomacji, za którym wciąż kryje się naga prawda. Prawda ta odsłoni się w chwili niebezpieczeństwa, gdy siła uczuć patrjotycznych pchnie masy do broni, którą napróżno locarniści i inni pacyfiści starają się wytrącić.

„Si vis pacem, para bellum" — szczerzej, niż obecnie, mówiono w starożytności, szczerzej, niż dzisiejsi „paktowicze", którzy tem chętniej propagują szczytne swoje teorje, iż oni właśnie dzierżą pełnię władzy w tej formie, która pod postacią dolara jest bodaj najbardziej przekonywującym argumentem i daje możność szybkiego zorganizowania się do wszelkich sposobów walki.

Takimi pono, jak twierdzą ci i owi, byli Amerykanie, którzy rzekomo w imię szczytnych ideałów przyszli walczyć przeciw zaborczości Germanji, dziś zaś z gałązką oliwną w ręku bezwzględnie egzekwują długi u byłych aljantów-Francuzów, wspomagając jednocześnie byłego wroga. Jedną ręką zabierają u tego, co życie swe i dobytek złożył w obronie słusznej sprawy, by drugą wspierać najeźdcę, który, walcząc na obcem terytorjum, nic nie stracił w kraju z wyjątkiem... honoru i zagrabionych prowincyj, za co najzupełniej jawnie grozi odwetem.

Czy słuszne jest to twierdzenie o Amerykanach, nie chcemy przesądzać, jednak pozory istnieją...

„Wielka parada" — parada żywych, po której następuje parada śmierci jest tylko działaniem na masy w kierunku przygnębienia. Wszak wiemy wszyscy, którzyśmy tam byli, że wojna to nie parada, a jeśli zginąć należało, to właśnie szczęśliwszy był i podwójnie odważny ten, co niósł w sercu oddanie dla sprawy ze zrozumieniem, za co walczy.

Dlatego właśnie francuski film Gance'a „J'accuse" w porównaniu do „Wielkiej Parady" stokroć więcej przemawia pod względem ideowym. Dlatego właśnie oczekiwany wkrótce „Verdun" będzie z pewnością większy, gdyż malować będzie bohaterską i epicką obronę warowni francuskiej, klucza strategicznego rozwiązania napadu wroga. Dlatego ostro krytykowano ideowe założenie „Wielkiej Parady" iż Francuzi pamiętali, że bronili każdej piędzi swojej ziemi, bronili swych ognisk domowych, bronili sprawy pokoju, do którego może więcej, niż inne narody, są przywiązane.

I cóż dziwnego, że, jak opowiadają recenzenci, Marszałek Foch, będąc na prezentacji „Wielkiej Parady" z trudnością ukryć mógł wzruszenie. Przypominał sobie bowiem tę tytaniczną walkę i nadludzką odpowiedzialność. I z pewnością inaczej nie interpretował Marszałek swego wrażenia.



Japońska gwiazda filmowa, Komako Samada, przy przepisywaniu scenarjusza.

Podobne wzruszenie udzieli się każdemu na widok tej strasznej jatki, nie osłabi jednak nigdy ducha (nie Locarna!) w prawdziwym synu ojczyzny, co wiernym jest dla swego sztandaru żołnierzem.

Tyle o ideowej stronie filmu, którego pojmować po amerykańsku nie potrafię, światopogląd mój bowiem wyrobiony jest gdziendziej, niż w międzynarodowym Hollywoodzie.

Tyle pozwoliłem sobie poświęcić miejsca stronie ideowej, gdyż przekonany jestem o bardzo wysokiej wartości tego arcydzieła filmowego. Wielki film nie potrzebował idjotycznych superlatywów w zapowiedziach publicznych, gdyż przyszedł do nas z reputacją, iż jest to „wielka parada filmu", jeden z najwybitniejszych obrazów produkcji światowej.



Dyplomatka, śpiewaczka i gwiazda filmowa, Stefanja Lex Xavier, wszechstronnie współczesna Sjamka.

King Vidor okazał się genjalnym reżyserem. Sceny o wysokiem napięciu dramatycznem umiejętnie przeplótł scenami o podkładzie komedjowym, dając chwilę wytchnienia od dantejskiego piekła, przez które nas prowadzi. Piekło to jest zobrazowane w sposób nadzwyczaj realistyczny i więcej bodaj, niż w filmie, na który się powoływałem na początku „J'accuse", nie dziw jednak wobec postępu techniki w ciągu kilku ostatnich lat. Aktorzy cudownie obsadzeni; Gilbert, Adorée grają po mistrzowsku, role ich jednak giną w ogólnym obrazie, który, jak wielka panorama, nie opiera się na żadnych głównych postaciach.

Jeżeli masz życzliwość dla „Famulusa", to czy okazałeś mu ją, jednając nowych prenumeratorów?

Popieranie pożytecznych pism i książek jest obowiązkiem każdego obywatela.



FREYER ZDOBYWCĄ PUHARU „POLONJI".

Nowe zwycięstwo niezawodnego Freyera przyniosło polskiemu Nurmi'emu puhar „Polonji" katowickiej. Przewagę nad 143 zawodnikami osiągnął bez większego wysiłku, drugi bowiem ze zwycięzców pozostał w tyle za Freyerem o 160 mtr. (na 4.500 ogólnej trasy).

NOWE MISTRZOSTWA POLSKIEGO SPORTU ZAGRANICĄ

Propagandowy sukces zwycięstw naszych zawodników sportowych zagranicą jest b. znaczny. Wszystkie mistrzostwa Austrji na zawodach narciarskich przypadły w udziale naszym zawodnikom — Czechowi, Loteczkowej i Mietelskiemu.

II KONGRES SPORTOWY.

Pod protektoratem p. Prezydenta Mościckiego, p. Marszałka Piłsudskiego i ministrów Bartla, Dobruckiego, Składkowskiego, Zaleskiego i Romockiego odbędzie się w sali Warsz. Tow. Wioślarskiego II Polski kongres sportowy, zwołany przez Walne Zebranie Związku Polskich Związków sportowych. Celem kongresu będzie sprecyzowanie obecnych postulatów sportu i wychowania fizycznego w Polsce. Zwołany jest on w momencie gdy rząd Marszałka Piłsudskiego przystępuje do zrealizowania planów swych na polu wychowania fizycznego.

Zaproszenie na kongres z prawem głosu otrzymali wybitni działacze sportowi, organy państwowe opiekujące się sportem, dowództwa O. K., rektoraty uczelni, magistraty większych miast, sejmiki powiatowe, większe kluby i związki sportowe, przedstawiciele prasy, harcerstwa i nauczycielstwa.

Wszyscy uczestnicy otrzymują 66 proc. zniżek kolejowych.

Obrady kongresu będą się toczyły na posiedzeniach plenarnych i komisyjnych: propagandy, ogólnej i postulatowej.

Obrady kongresu są dostępne dla wszystkich.

W salach Warszawskiego Tow. Łyżwiarskiego, Szopena 5, otwartą będzie wystawa sportowa.

Założeniem wystawy jest wykazać dotychczasowy rozwój sportu polskiego zrzeszonego w ramach Z. Z. Podstawowe znaczenie też będą mieć wykresy graficzne, przygotowane przez Państwowy Instytut Wychowania Fizycznego, które obejmować będą wszystkie działy sportu, których związki należą do Z. Z.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE

Londyn. W sobotę odbył się doroczny mecz uniwersyteckich osad wioślarskich Cambridge i Oxfordu (po raz 87-my). Tym razem wygrał Cambridge. Było to 37-me zwycięstwo Cambridge'u. Oxford wygrał dotychczas 41 razy.

Nowy Jork. Zawody piłki nożnej: Drużyna Nacional (Montevideo) osiągnęła remisowy wynik 2:2 z Brooklyn Wanderers. Obie bramki dla Brooklinu strzelili dawni gracze Hakoahu — Eisenhoffer i Nemes. Tilden został tu pokonany przez młodego gracza Lot'a 3:6, 5:7, 3:6.

BIEG NAPRZEŁAJ PAŃ



Brawo piękne panie! Życie sportowe wśród kobiet zatacza coraz szersze kręgi. Oto przed kilkoma dniami mieliśmy sposobność podziwiania inowacji, panie bowiem wzięły udział w specjalnie dla nich zorganizowanym biegu na przełaj. Mało wprawdzie stanęło kandydatek, 10 pań zaledwie zjawiło się na starcie.

Zwycięstwo przypadło w udziale p. Rożniewskiej z Pabjanic.

Nieuczciwość czy nieporozumienie?

Napaść wiedeńskiego „Renaissance'u" na polską „Godzinę Czytania".

Do szeregu książkowych wydawnictw **polskich**, przybyło ostatnio nowe wydawnictwo p. t. „Godzina Czytania", zorganizowane pod kierownictwem długoletniego pracownika **polskich** firm księgarskich i wydawniczych, p. Leona Osińskiego. Wydawnictwo to, aczkolwiek tanie (tom złoty jeden), zarówno formą, jak i treścią swoją odbiegło zasadniczo od typu pewnych obniżających poziom książki wydawnictw groszowych, które zachwaściły polski rynek wydawniczy, budząc odrazę do druku.

Zdawałoby się więc, że nic nie może mu stanąć na przeszkodzie, by przyczyniać się do rozwoju czytelnictwa i podnoszenia poziomu taniej książki w Polsce, a w ten sposób szlachetnie i uczciwie na terenie wydawniczym spełniać swe zadanie Ale gdzietam?

„Godzina Czytania" zaraz na wstępie spotkała na swej drodze nieuczciwość, o ile w grę nie wchodzi nieporozumienie.

A mianowicie:

Pierwszy tom „Godziny Czytania", na który złożyło się dobre tłomaczenie polskie, głośnego w Europie i Ameryce romansu Anity Loos, p. t. „Mężczyźni wolą blondynki", doprowadził do pasji anonimową firmę wydawniczą, szumnie tytułującą się instytutem (?!) wydawniczym „Renaissance". Kto reprezentuje ów anonim — niewiadomo, aczkolwiek domyśleć się nietrudno, biorąc pod uwagę, iż pewne sfery wolą nie ujawniać swych charakterystycznie brzmiących nazwisk.

Otóż ów „Renaissance", wydający książki polskie w Wiedniu (a więc na papierze zagranicznym z pominięciem papierni krajowych i w wiedeńskich drukarniach, a więc z pominięciem drukarni krajowych i pracowników polskich, odczuwających tak dotkliwie bezrobocie), został, jak się okazuje, ubiegnięty przez „Godzinę Czytania" w zamiarze wydania również tej samej książki. Pragnąc jednak za wszelką cenę zrobić „geszeft" na swojem wydaniu, zamieszcza ogłoszenia, oświadczając, iż książka, p. t. „Mężczyźni wolą blondynki" została przez „Godzinę Czytania" wydana nieprawnie, ostrzega księgarzy polskich przed jej nabyciem, zapowiada jej konfiskatę i t. d.

Tu mamy do czynienia z wiedeńską bezczelnością i nieuczciwością, o ile nie okaże się, iż w grę wchodzi nieporozumienie, albowiem stwierdzić musimy, że:

1) Romans Anity Loos p. t. „Mężczyźni wolą blondynki" został wydany przez „Godzinę Czytania" najzupełniej prawnie.

2) „Renaissance", posiadający rzekomo wszelkie i wyłączne prawa na jej wydanie, zwrócił się z propozycją zakupienia całego nakładu do „Godziny Czytania", oświadczając, iż tanie wydanie tej książki przez „Godzinę Czytania" (tom złoty jeden), uniemożliwi mu wydanie jej droższe. Propozycję tę „Godzina Czytania" odrzuciła.

3) Przekład romansu Anity Loos p. t. „Mężczyźni wolą blondynki" jest pełny, a nie w skrócie, jak to złośliwie twierdzi w ogłoszeniach swoich „Renaissance", gdyż dokonany został według wydania w języku angielskim, na jakie się „Renaissance" powołuje.

Wobec powyższego wydawca i redaktor „Godziny Czytania" p. Leon Osiński wytoczył sprawę „instytutowi" wydawniczemu „Renaissance" o nieuczciwą konkurencję, a jednocześnie za naszem pośrednictwem zwraca się do wszystkich wydawniczych i księgarskich placówek polskich, aby należycie ustosunkowały się do tych metod, jakie wiedeński „Renaissance" chce wprowadzić na rynek wydawniczy polski.

Z przykrością jednocześnie zanotować musimy, iż ogłoszenia, godzące w polską „Godzinę Czytania", a nawet skierowane przeciwko niej redakcyjne wzmianki, ukazują się systematycznie na łamach „Kurjera Księgarskiego", organu, wydawanego przez „Dom Książki Polskiej".

Wierzyć chcemy, iż kierownik „Domu Książki Polskiej", a jednocześnie wydawca i redaktor „Kurjera Księgarskiego" p. Wacław Szelążek, został wprowadzony w błąd przez wiedeński „Renaissance", a wobec tego, prawdopodobnie, zechce natychmiast i publicznie również naprawić tę krzywdę, jaką wyrządził „Godzinie Czytania" przez zamieszczanie inspirowanych ogłoszeń i notatek. W przeciwnym bowiem razie zmuszeni będziemy powrócić do tej sprawy specjalnie, gdyż tego rodzaju wiedeńskie metody postępowania, naszem zdaniem,, nie powinny znajdować poparcia i poplecznictwa w instytucjach polskich, którym dobro wydawnictw i książek, wydawanych przez Polaków i w Polsce, leży na sercu.

CENA PRENUMERATY:

Miesięcznie	Zł. 1.—
Kwartalnie	„ 3. —
Półrocznie	„ 6. —
Rocznie	„ 12.—

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa Miodowa 5, tel. 28 33 i 2-96
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p. Redakcja czynna od 10 do 4-tej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwraca. Kierownik oddziału propagandy i reklamy przyjmuje od 9-10.
Konto P. K. O. Nr. 14315.

Redaktor i wydawca *Eugenjusz Rafalski*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.

SZCZYT MARZEŃ RADJOTY



Pudla, sztepsle , aparaty,
dziury, haki, drut i graty,
lampy, lampki i anteny
różnej mocy, różnej ceny,
lecz nie próżny był to zapał,
bowiem dzisiaj... Marsa złapał.

HANDLOWA KALKULACJA



— Ty chyba jesteś albo głuchy, albo ślepy, że nie wiesz, że żona twoja ma 4 kochanków.

— Co jest? Wolę mieć 20 proc. w dobrym interesie, niż 100 proc. w złym.

CZY NIE PIĘKNE?



Obecnych dziewic strój i wdzięk
tak potęgują mody,
że ten i ów z wrażenia pękł
pod czarem ich urody.

DO NIEBA ALE BEZ ŻONY



— Będę się modliła, żeby Pan Bóg przyjął państwa do nieba...

— Macie jeszcze 5 groszy, babuniu, ale niech mnie oddzielnie zabiorą od żony.